№ 13. Warszawa, 2 Kwietnia 1909 roku. Rok II.

SPOŁECZEŃSTWO

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

PRENUMERATA: w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 k. 25. Numer pojedyńczy k. 20. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO“ wychodzi co piątek.

Adres Red. i Administr. **Żórawia 29, m. 2; Tel. 116 67.**

OGŁOSZENIA po kop. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 2—3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU.

Parodja związku.
Bałwochwalcy (odcinek).
Na widnokręgu politycznym.
Społeczeństwo a nędza.
Darwinizm i rozwój socjalny.
Echa: 1) Koło niemocy przemysłowo-handlowej. 2) Zrzeszenie kolejarzy.
Ruch zawodowy: 1) Stow. Zawodowe robotn. przemysłu włókniestego „Jedność“. 2) Lokaut Garbarski.
Z teatru.
Kronika.
Metropolis (ciąg dalszy) powieść.
Wiadomości bibljograficzne.
Dodatek: J. Wł. Dawid. Inteligencja, Wola i Zdolność do pracy (ark. 12).

PARODJA ZWIĄZKU.

Ludzie się zrzeszają z najróżnorodniejszych powodów, w najrozmaitszych celach, dla widoków i zamiarów przeróżnych. Jest rzeczą przytem ważną, by w wypadkach tych ulegali oni możliwie najmniejszemu samozłudzeniu, by sobie jasno i wyraźnie zdawali sprawę z celów, by w samem założeniu i podstawach takiej kopulacji unikali bezkrytycyzmu i dezorjentacji, sprowadzających w następstwie rozczarowanie i zniechęcenie.

Poza stowarzyszeniami o charakterze towarzyskim, sportowym, filantropijnym, kulturalnym, naukowym lub współdzielczym, w życiu współczesnem związki zawodowe niewątpliwie zajmują miejsce naczelne. W całym cywilizowanym świecie są one kością pacierzową ustroju naszego. Są one potężnym, imponującym orężem, którym w Europie i Ameryce władają ludzie coraz wprawniej i sprawniej, są narzędziem nietylko walki, uświadomienia, oświaty, ale i puklerzem przy odparowaniu ciosów i zamachów na wywalczone raz już ustępstwa materjalne i moralne, są wreszcie zachętą i przykładem dla obojętnych, sobków i maroderów. W każdej jednak celowej i świadomej czynności, a więc i w inicjowaniu, organizowaniu nowego związku zawodowego, korzystanie z doświadczenia innych, unikanie dróg i ścieżek, które innych wprowadziły na manowce, nie tylko jest wskazanem, lecz wprost niezbędnem. Dzieje związków zawodowych w Europie, Ameryce i Australji aż nadto dostatecznie pouczają, że niema nic więcej szkodliwszego dla każdego takiego związku, nic groźniejszego, coby w chwili już urodzin jego skazywało go na zagładę, lub, co najwyżej, na suchotniczą wegetację, słowem, że niema dlań silniejszej trucizny, jak skupienie pod jednym dachem i dla wspólnego jakoby pożycia, żywiołów przyrodniczo sobie wrogich, antagonistów nie z przypadku, lecz z natury wzajemnych stosunków.

O tem najpierwszem przykazaniu zapomniał, raczej nie chciał pamiętać świeżo zalegalizowany związek dziennikarzy i literatów. W ustawie jego nie jest zawarowane, że doń należeć nie mogą ani wydawcy-przedsiębiorcy, ani „naczelni“ redaktorowie, ani ich administratorowie, ściśle ze swego stanowiska związani z interesami wydawnictwa.

Oni przeto, łącznie z synekurzystami naszej prasy, na zebraniu inauguracyjnem, odbytem w redakcji „Świata“, nadawali mu ton i wpływ, oni też przeważnie zostali wybrani do zarządu „tymczasowego“. Szara brać dziennikarska żyje i pracuje w nad wyraz smutnych, materjalnie i duchowo marnych warunkach. Nie wiele wiedzą, jeszcze mniej czytają, ze słabą skutkiem tego wrażliwością i reakcją na różne objawy życia polityczno-społecznego, z wieczną bieganiną po redakcjach, z wieczną troską o ilość „kop“ zarobionych i jakże nieregularnie odbieranych! Ci, którym udało się ulokować na posadach stałych, są zakneblowani i uzależnieni aż do utraty nie tylko sądu samodzielnego, ale często i godności osobistej. Obawa stracenia miejsca tłumi w nich w zarodku wszelką myśl śmielszą, wszelki odruch uczu-

cia szczerszego, dławi głos niepodległy. Oni na ogół mogą i będą na zebraniach „związku“ tylko potakiwać „panom redaktorom“ lub redakcyjnym matadorom.

Niewielu również znajdzie się śmiałków i z pośród tych, co posad nie mają stałych, po pierwsze dla tego, że lot ich wogóle nie jest zbyt wysoki, powtóre że byłoby to zamknięcie sobie drogi na zawsze na taką, z utęsknieniem, bądź co bądź, wypatrywaną i wyczekiwaną posadę, po trzecie dlatego, że to utrudniłoby im znakomicie zarobkowanie.

Ponieważ nie tylko nomina, lecz i exempla sunt odiosa, więc jeno jako ilustrację — pomijając cały łańcuch innych faktów—przytoczę, że pewien redaktor odmówił kilkunastu rubli stałemu współpracownikowi, u którego tymczasem komornik z chmarą licytantów molestował się z żoną!

Obecnie ten mąż twardego serca i hermetycznej kieszeni jest nielada figurą w związku dziennikarzy i literatów! Czy przy takim stanie rzeczy ów „związek zawodowy“ nie jest, nie będzie karykaturą? Musi nią być. O spójności, solidarności, zwartości na podstawach wzajemnego szacunku i zaufania—a są to kamienie węgielne każdego istotnie zawodowego związku—tu mowy być nie może. O rzeczywistej trosce poprawy przykrych tych stosunków, o nieobłudnem dążeniu do tego, o chęci czynnej niema co myśleć. A więc jest to płód w zaraniu swem poroniony, jestto żmija z żądłem przy urodzeniu wydartem, miecz bez klingi, a nie związek—broń.

Zwrócą mi tu pewnie uwagę, że światek dziennikarzy i literatów naszych jest tak nieliczny, że ograniczeń i wyłomów w nim takich robić nie można. Jeżeli to ma być jednak związek *zawodowy*, to nie tylko można, lecz musowo trzeba. Miejscem odpowiedniem dla pp. wydawców i redaktorów to Koło Przemysłowców, a rozproszone i rozrzucone szeregi dziennikarsko-literacko-artystyczne winny prosić o przyjęcie do Związku zecerów i litografów i stanowić w nim autonomiczne Koło. I dopiero w tem połączeniu znajdą siłę, życia rumieniec, skuteczną obronę. Wzdrygacie się? O, wy modnie skrojone palta i lśniące cylindry...

Może jednak to tylko nazwa stowarzyszenia została niefortunnie, sprzecznie z teorją i praktyką zachodnio-europejską, wybraną, ale może ono ma rację bytu. Wszak—profani powiedzą—dobór umysłowy, kwiat inteligencji, sól społeczeństwa, ma o czem radzić, myśleć i rozprawiać, poza brutalnemi interesami żołądka i spraw jego. Bez kwestji najmniejszej, kategorje wyższego rzędu mają swe niezaprzeczalne prawa i tylko kretyn mógłby lekceważyć je sobie, ale dla ich zaspokojenia istnieją różne specjalne towarzystwa, Koła i sekcje. Historycy mają Towarzystwo Historyczne, psycholodzy — Tow. Psychologiczne, matematycy i przyrodnicy—Koło fizyko-matematyczne i t. p. Tam specjalne umysłowe siły znajdują, a przynajmniej znaleźć winny, wymianę myśli, bodziec do badań, zespół i kontakt. Tam może i powinien należeć każdy, interesujący się daną dziedziną wiedzy i sztuki, bez względu na swe stanowisko ekonomiczno-społeczne. Związek zawodowy ma zgoła inne cele i zadania, którym, jak widzieliśmy, związek dziennikarzy i literatów w najmniejszej mierze nie odpowie. Ale jest w tym związku jedna jeszcze ciekawa strona.

Świat dziennikarzy i literatów obejmuje w swem

G. d'ANNUNZIO.

BAŁWOCHWALCY.

I.

Wielki plac piaszczysty lśnił się w słońcu. Wszystkie wokół domy, pobielone wapnem, zdawało się, zioną żarem, niby ściany ogromnego pieca, który był na wygaśnięciu. W głębi filary kościoła odbijały promieniowanie obłoków, mieniąc się czerwienią granitu; szyby błyszczały, jak gdyby po za niemi wrzał pożar; figury świętych ożywiały się w barwach i swych postawach; cały gmach w przepychu zorzy wieczornej potęgą swej władzy przytłaczał domy Raduzanów.

Grupy mężczyzn i kobiet przebiegały z ulic na plac, rozprawiając, gestykulując. We wszystkich duszach rósł szybko przesądny strach; z nieokrzesanych umysłów wyłoniły się tysiące przerażających obrazów kary bożej; gadanina, gorące zapewniania, żałosne zaklęcia, opowieści bez związku, modlitwy, krzyk i przeciągły zgiełk, grożący blizkim huraganem. Już od kilku dni po zachodzie słońca na niebie zostawała ta krwawa purpura; mąciła pokój nocy, oświetlała tragicznie śpiące wsi, płoszyła z legowisk wyjące psy.

— Jakóbie, Jakóbie! — wzruszając ramionami, wołali ci, którzy dotychczas szeptali przed kościołem, cisnąc się wokół filaru przedsionka.

Z głównych wrót kościelnych wysunął się człowiek i zbliżał się ku wołającym; wysoki, chudy, zdawał się być trawiony gorączką gruźliczą; czaszkę miał łysą, skronie zaś i część karku wieńczyły długie czerwonawe włosy. Jego małe, zapadłe oczy żarzyły się głęboką namiętnością, skośne w kierunku podstawy nosa były koloru niepewnego. Brak dwu zębów w szczęce górnej nadawał ruchowi jego ust przy wymawianiu wyrazów i ostrej brodzie uderzające podobieństwo do twarzy starego fauna. Reszta ciała była to nędzna budowa z kości, niedbale ukryta w łachmanach; skóra zaś na dłoniach, na przegubach rąk, na ramionach i plecach była pokryta błękitnemi znakami, śladami nakłuć szpilką, zasypanych indychtem, na pamiątkę zwiedzonych saktuarjów, otrzymanych łask, uczynionych ślubów.

Gdy fanatyk zbliżył się do grupy ludzi przy filarze, rzuciła się nań zgraja pytając:

— A więc? Cóż powiedział Don Consolo? Czy tylko srebrne ramię ma być wystawione? Czy nie lepiej byłoby całe popiersie? Kiedy wraca Polura ze świecami? Było sto funtów świec? Tylko sto? A kiedy zaczną bić w dzwony? Co będzie? co będzie?...

Okrzyki mnożyły się i potężniały wokół Jakóba; najdalsi cisnęli się ku kościołowi, ze wszystkich ulic ludzie zbiegali się na plac i niebawem go wypełnili.

Jakób odpowiadał na pytania cichym głosem, jak gdyby objawiał przerażające tajemnice, jakby przynosił z oddali ciemne przepowiednie. On widział na niebie, śród krwi rękę grożącą, a potem welon czarny, a potem szpadę i trąbę...

— Mów, mów! — zachęcali go inni, spoglądając sobie w oczy, żądni usłyszenia rzeczy cudownych, podczas gdy pogłoska szerzyła się szybko z ust do ust śród licznego tłumu.

łonie, reprezentuje, streszcza niejako wszystkie prądy, które nurtują w danej epoce, zawiera przedstawicieli wszystkich kierunków, form i tendencji, i tych, co zapatrzeni w świty ludzkości, i tych, co się zżyli z mrokiem, i tych, co rozkuwają kajdany ducha i ciała, i tych co je zakuwają i kują nowe, bojowników jutra i niewolników przeżytych kształtów. Zdarzają się między nimi idejowcy o głębokich, hartownych przekonaniach, częściej jednak kameleoni, dusze czyste, jak kryształ i brudne jak rynsztok. I chcieć całe to przebogate życie gromadzić pod wspólnym dachem, kiedy dlań często bywa za ciasno na całej ziemi, jestto chcieć gwałcić naturę ludzką. Ramię do ramienia! w dłoni dłoń! takiem jest hasło rzetelnego związku, i pragnąłbym widzieć taką entente cordiale między Niemojewskim i ks. Kłopotowskim, Żeromskim i Choińskim, przed czy po „Czerwonem Zwycięstwie“ wystawowym troglodytą, między magiem naszej literatury, wytwornym Miriamem, i dobrodusznym reporterem, między Azefem naszej publicystyki i jaką jego ofiarą. A wszak trzeba jeszcze pamiętać, że niezależnie od tych idejowych różnic i przepaści, całe to genus jest niesłychanie irritabile, z chorobliwie, niemniej jak u świata aktorskiego, podnieconą i wiecznie czujną, podejrzliwą próżnością, że cechują go pretensje wybujałe, megalomanja nieraz obłędna, apetyty zaostrzone przy szczupłych zwykle środkach, co wytwarza tysiące tragi-komicznych kolizji, trzeba jeszcze i tę psychologiczną stronę uwględnić, żeby przyznać, że stworzenie wspólnego gniazda życiowej próby nie wytrzyma. Chyba—dla małej garstki, przy licznym napływie „gości“, poker, faraon lub wint ich zjednoczy. Instynktownie czy świadomie zdawała sobie do pewnego stopnia z tego sprawę delegacja, która zaprosiła imiennie „kolegów“ na zebranie—do redakcji „Świata“. Te dwie okoliczności odrazu nadały oczywiście całemu zebraniu miły, swojski, rodzimy zapaszek, zabarwienie ciepłe, familijne. Na interpelację co do szczupłej ilości zaproszonych, delegacja przez usta p. Lorentowicza z rozbrajającą nonszalacją odpowiedziała, że—szczupłość lokalu tego przyczyną! To już nawet nie po warszawsku. Po pacanowsku. Naprzód obowiązkiem jej było pamiętać, że jeszcze nie wszystkich, jak „biednego“ Nowaczyńskiego skokietowała i usidliła rozumna „ewolucja“, i że nie każdy bez pewnej żenady przekroczyłby progi gościnne redakcji „Świata“, następnie, że lokali publicznych u nas nie brak i na organizacyjne zebranie dziennikarzy wioślarze, cykliści, technicy, handlowcy użyczyliby chętnie sali albo darmo albo za wejściowe.

Tłomaczono się jeszcze—risum teneatis — brakiem blankietów. Trzy lata czekano na zatwierdzenie ustawy i oto, gdy ją posiedli, wyrosła im góra przeszkód: zabrakło nieborakom blankietów! A już oczywiście ślepy traf zrządził, że akurat zabrakło ich przeważnie dla redakcji pism niezależnych i dla dziennikarzy postępowych. Trzy lata temu możeby stało się odwrotnie. Może... Dziś było inaczej. Część ich odbywa sobie przejażdżki po wschodzie i zachodzie, północy i południu, dla części zabrakło blankietów, co widocznie wywołało taką konsternację u reszty, że zwykle wymowny i bystry Belmont tym razem milczał, słuchał i dumał, a czy p. Kempner został wybrany na zastępcę do zarządu, o tem dowiedzieć się z pism nie można, bo jedne go wymie-

---

II.

Wielka czerwona rana wznosiła się wolno ku zenitowi, dążąc do ogarnięcia całej kopuły niebieskiej. Mgła pełna lśnień metalicznych kołysała się ponad dachami domów. Promienie zapadającego zmierzchu złote i fioletowe roztapiały się w drgającej tęczy. Smuga jaśniejsza padała na ulicę, wychodzącą ku rzece i widać było w głębi łunę wód śród długich, wysmukłych pni topól; dalej płonął obszar pól, gdzie stare wieże saraceńskie dźwigały się bezładnie, jako wyspy kamienne śród murów. Parne zapachy sianokosów biły ku górze; zdawało się niekiedy, że zawiewa z oddali woń przejrzałych jagód leśnych. Girlandy jaskółek szybowały w przestrzeni; wydając krzyki przenikliwe, przelatywały z drzew nadbrzeżnych na rynny domów.

Szmer tłumu przerwała cisza oczekiwania. Imię Polury przechodziło z ust do ust; gniewne zniecierpliwienie wybuchało tam i sam. Wzdłuż ulicy nad rzeką nie było jeszcze widać wozu; świec brakowało. Wskutek tego Don Consolo zwlekał z wystawieniem relikwji, odprawieniem egzorcyzmów; tymczasem niebezpieczeństwo trwało. Strach ogarniał wszystkich tych ludzi, skupionych, jako stado zwierząt, nie śmiących wznieść oczu ku niebu. Z piersi kobiecych poczęły wyrywać się łkania i te dźwięki żałosne zgrozą najwyższą zdławiły i ogłupiły umysły. Wtedy nareszcie zabrzmiały dzwony. Dźwięki głuche, głębokie zaciążyły nad głowami, a pomiędzy uderzeniami dzwonu uwijał się w przestrzeni przeciągły jęk:

— Święty Pantaleonie, Święty Pantaleonie!

Potężny okrzyk jednogłośny zrozpaczonych łaknących pomocy. Wszyscy na klęczkach, z wyciągniętemi rękoma, o bladych twarzach, błagali:

— Święty Pantaleonie!

W drzwiach kościoła, śród dymu dwóch kadzielnic ukazał się Don Consolo cały lśniący, w fioletowym ornacie, złotem wyszywanym. Unosił w górę święte ramię ze srebra, zaklinał łacińskiemi słowy:

— Ut fidelibus tuis aeris serenitatem concedere digneris, Te rogamus, audi nos.

Widok relikwji obudził w tłumie obłędną czułość. Łzy płynęły ze wszystkich oczu i wskróś przejrzystą oponę z łez widziały oczy cudowny blask niebiański, wydobywający się z trzech palców w górze, złożonych do błogosławieństwa. Figura zdawała się być większą, skąpana w pozłocie zmierzchu; promienie odbijały się w drogich kamieniach; zapach kadzideł chłonęły nozdrza.

— Te rogamus, audi nos!

Lecz, gdy ramię znikło i dzwony zamilkły, w chwilowej ciszy dały się słyszeć dźwięki dzwonków, zbliżające się od ulicy nad rzeką. Wtedy tłum rzucił się nagle w tą stronę z krzykiem:

— Polura ze świecami! Polura jedzie, oto Polura!

Wóz zbliżał się, skrzypiąc po żwirze, pociągany przez szarą, niemrawą kobyłę. Ponieważ Jakób i inni zastąpili jej drogę, spokojne zwierzę zatrzymało się, ciężko sapiąc. Jakób zbliżył się pierwszy i ujrzał w głębi wozu wyciągnięte ciało Polury, całe we krwi i zaczął krzyczeć, wymachując rękoma przed tłumem:

— Trup! Trup!

niają, inne—nie, próbka, że nawet w informacjach faktycznych „związkowcy“ nie mogą się wznieść do obowiązku bezstronności.

Urząd do spraw związkowych pozbawił Związek prawa tworzenia korporacyjnego sądu honorowego, nie przesądzamy roli takiego sądu w przyszłości, sądzimy jednak że projekt ten był złośliwym figlem, który wnet zredukowałby związek do mirażu. Urząd jednak na figlu się poznał i oto w rezultacie mamy ugodowo-endecko — „bezpartyjny“ związek z zarządem następującym: prezes—p. Wł. Bogusławski, wiceprezes p. Ludwik Straszewicz, skarbnik p. I. Baliński, sekretarz p. Władysław Rąbski, członkowie pp. Grendyszyński, Krzywoszewski, Lorentowicz, Papieski. W maju zwołane będzie zebranie ogólne w celu ponownego wyboru wymienionych osób.

Cz. Hul.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na

kwartał II-gi.

NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

K o n f l i k t s e r b s k o - a u s t r j a c k i zakończony został zupełnem zwycięstwem Austrji, a pośrednio Niemiec. Rosja wyraziła zgodę na żądanie Austrji i w tym duchu nacisk wywarła na Serbję. Główne punkty ugody, które Serbja przyjmuje są następujące:

1) Serbja wyklucza sprawę bośniacką ze wszystkich swoich planów na przyszłość.

2) Serbja oświadcza gotowość natychmiastowego rozbrojenia się pod nadzorem znajdujących się w Belgradzie attachés wojskowych wielkich mocarstw.

Stan pokojowy armji serbskiej ma być zredukowany do stanu, w jakim znajdowała się armja serbska dnia 1 maja 1908.

3) Serbja oświadcza gotowość zwrócenia się do Austro-Węgier z prośbą o nawiązanie rokowań ekonomicznych.

Wynik ten sprawy „Nowoje Wremia“ uważa za klęskę Rosji równą klęsce pod Cuszymą.

„Obecnie — pisze organ Suworina — dzięki małoduszności dyplomacji, imię Rosji wśród Słowian bałkańskich zostało zhańbione bodaj na cały wiek. Obrońcą prawnych dążeń Serbji jest już nie Rosja, lecz Anglja i Francja... Nasza dyplomacja, która zniszczyła wiarę Słowian w Rosję, zhańbiła wobec Wiednia i Berlina godność Rosji, osłabiła pozycję Anglji i Francji, oddała patrtonat nad Słowiańszczyzną w ręce Anglików i Francuzów, nic nie zdobyła dla Słowian, a wszystko straciła dla Rosji“. „Nowoje Wremia“ nie wierzy nawet, ażeby Rosja, która „ze strachu przed wojną opuściła sprzymierzeńca i na długo pogrzebała swoją dobrą sławę“, uniknęła wojny. Austrja, zdaniem gazety, pomimo wszystkich kłopotów, może napaść na Serbję, a wtedy Rosji nie pozostanie nic innego, jak wziąć czynny udział w tej wojnie.

„Dotychczas naturalnym obrońcą Serbji i Słowian południowych była Rosja. Teraz, skutkiem tchórzostwa dyplomacji rosyjskiej, imię Rosji na półwyspie Bałkańskim wykreślone zostało być może na całe stulecie. Szukając poparcia dla swych słusznych żądań, Serbja ogląda się już nie na Rosję, ale na Anglję i Francję“.

„Nowaja Ruś“ formułuje nową sytuację na Bałkanach w sposób zwięzły i dosadny:

„Flaga została spuszczona... Nietylko w Porcie Artura, ale i tam, gdzie w ciągu wieków lała się krew rosyjska, gdzie nie w interesie utalentowanych przedsiębiorców, ale w imię braterstwa wszechsłowiańskiego żołnierze rosyjscy składali swe kości...“

III.

Smutna wieść rozbiegła się błyskawicą. Ludzie skupili się wokół wozu, wyciągali szyję, aby cokolwiek zobaczyć. Nie myśleli już o groźbie niebios, uderzeni tym nowym nieoczekiwanym wypadkiem, przejęci ciekawością okrucieństwa, burzącego się zwykle na widok krwi.

— Umarł? Od czego?

Polura leżał plecami na deskach z szeroką raną na czole, z rozdartem uchem; ramiona, boki i jedną goleń miał pokryte drobnemi ranami. Strumień krwi spływał z jego czoła ku brodzie i szyi, znaczył krwawe ślady na koszuli, tworzył brunatne ślniące skrzepy na piersiach i brzuchu. Jakób stał nachylony nad ciałem; wszyscy wokół oczekiwali; zorza wieczorna oświecała twarze zmieszane i śród ciszy słychać było od rzeki chóry żab; nietoperze wzlatywały nizko nad głowami.

Nagle Jakób, zwracając ku tłumowi policzek, splamiony krwią, zawołał:

— Nie umarł. Jeszcze oddycha!

Głuchy pomruk obiegł tłum i najbliżsi przysunęli się, aby widzieć; stojący dalej, zaniepokojeni poczęli szemrać. Dwie kobiety przyniosły naczynia z wodą, inna kawałek płótna; jakiś młodzieniec ofiarował butelkę wina. Obmyli rannemu twarz, opatrzono ranę na głowie, podniesiono głowę. Odezwały się tu i owdzie podniesione głosy, żądając wyjaśnienia faktu.

— Brakło stu funtów wosku; zaledwie parę kawałków pozostało pomiędzy deskami, na dnie wozu...

Śród ogólnego wzburzenia umysły coraz więcej zapalały się, wpadały w zapamiętałość; wszczynały się spory zajadłe. A ponieważ wrzała w nich odwieczna nienawiść krwi do mieszkańców kraju Maskalik, Jakób zawołał głosem głuchym, zjadliwie:

— Czyżby świece były ofiarowane Św. Gerwazemu?

Te słowa podziałały, niby iskra, powodująca pożar. Duch kościoła zbudził się nagle w tym tłumie, przez tyle lat ogłupianym czcią ślepą i okrutną dla swego jedynego bożka. Słowa fanatyka przechodziły z ust do ust. Powtarzano imię świętego, niby okrzyk wojenny. Najzapalczywsi rzucali przekleństwa w kierunku rzeki, potrząsali ramionami, zaciskali pięści. Potem wszystkie te twarze, płonące gniewem, szerokie i potężne, którym dziwny wyraz barbarzyństwa nadawały złote kółka, zawieszone w ustach i silnie wydatne czoła, — wszystkie te twarze zwróciły się ku rannemu, rozrzewnione współczuciem. Wóz otoczyły kobiety, usiłujące miłosiernemi zabiegami ożywić konającego: pieszczotliwemi rękoma zmieniały płócienne opatrunki, do bladych ust przykładały butelkę wina, pod głowę podłożyły miekką poduszkę—Palura, biedny Palura, czemu nie odpowiadasz?

Palura leżał na plecach z oczyma zamkniętemi; miał usta lekko odchylone; ciemny puszek pokrywał jego policzki i podbródek. Spokojne piękno młodości spoglądało z jego twarzy po przez rysy, ściągnięte skurczami bólu. Z pod przepaski na czole spływała na skronie cienka nitka krwi; w kątach ust pojawiały się pęcherzyki czerwonawej piany i z gardła wydobywało się urywane, chrapliwe rzężenie. Wokół biegano, pytano, krzyżowały się badawcze, gorączkowe spojrzenia. Zgroza, jak gdyby wobec zbliżającego się huraganu, zawisła nad całą okolicą.

(dok. nas.).

Tak samo dosadnie formułuje rezultat całej „wojny dyplomatycznej" i radykalna „Nasza Gazeta":

„P. Izwolskij uzyskał zgodę Rosji w sprawie urzędowego uznania aneksji Bośni i Hercegowiny. Jeżeli tak jest istotnie, to Austrja odniosła zwycięstwo i nad Serbją i nad Rosją".

„Ciężka porażka dyplomatyczna—pisze „Słowo" petersburskie—jaką poniosła Rosja, polega bynajmniej nie na zwycięstwie jednej formuły, austrjackiej, nad inną, rosyjską, albo jednej recepty nad inną, jej przeciwstawną: porażka ta oznacza osłabienie wpływu rosyjskiego na całym bliskim Wschodzie i upadek Rosji, jako wielkiego mocarstwa.

Odkąd Rosja pobita została na Dalekim Wschodzie i przestała tam być mocarstwem pierwszej klasy, zmalała i jej ogólna rola w polityce międzynarodowej. Jak zawsze jednak, istotny stopień jej poniżenia nie ujawnił się odrazu we właściwej mierze. Równowaga w stosunku wzajemnym mocarstw, gdy raz zostanie naruszona, nie łatwo ustala się ponownie, nie odrazu np. dały się odczuć i obliczyć wszystkie skutki poniżenia francuskiego w roku 1871. Tak samo też i rezultaty naszych strat z roku 1904 i 1905, oraz kryzysu wewnętrznego, ujawniają się ze szczególną wyrazistością dopiero teraz—za dni naszych.

Nie widać końca ustępstw Rosji w sprawach bałkańskich; uczyniwszy jedno, musi ona zgadzać się na drugie i trzecie.

Po takiem osłabieniu Rosji, ujawnionem w oczach wszystkich, równowadze Europy zagraża dalsze i gorsze niebezpieczeństwo".

Klub polskich posłów socjalno-demokratycznych w wiedeńskiej Radzie państwa wysłał do rosyjskiej socjalno-demokratycznej frakcji w Izbie pismo, w którem powiedziano między innemi:

Polski klub posłów socjalno-demokratycznych w austrjackiej Radzie państwa uchwalił d. 24 marca r. b. zwrócić się do waszej frakcji w następującej sprawie:

Dnia 16 b. m. postawił poseł do Izby, Dymsza, rezolucję tej treści, że „przynależność do narodowości polskiej nie powinna przeszkadzać przyjmowaniu Polaków na posady sądowe w Królestwie Polskiem". Wedle gazet rosyjskich miał tow. Gegeczkori uzasadniać wrogie tej rezolucji stanowisko swojej frakcji tem, że wniosek Dymszy uwzględnia jedynie interesy polskiej ludności, ignorując interesy pozostałych narodowości w Królestwie Polskiem, oraz stanowiskiem Koła Polskiego wobec budżetu. Faktycznie przeciw tej części rezolucji Dymszy, która żądała dopuszczenia Polaków w Polsce do godności sędziowskich, głosowała cała frakcja S.-D. i doprowadziła do obalenia rezolucji Dymszy.

Jakkolwiek poseł Gegeczkori uznał za stosowne ogłosić przy tej sposobności frakcję S.-D. w Izbie za reprezentantkę polskiego proletarjatu, to jednak my, polscy posłowie socjalno-demokratyczni, musimy wyrazić nasze stanowcze przekonanie, że Polacy w Królestwie Polskiem mają prawo nietylko do posad w sądownictwie, lecz mają także prawo do stanowienia o sobie.

Jesteśmy też przekonani, że żaden poseł, wybrany naprawdę przez proletarjat polski, nie mógłby zająć podobnego stanowiska, jakie zajął w swojej mowie tow. Gegeczkori, a w swojem głosowaniu cała frakcja S.-D.

Co do motywów przytoczonych, to zauważymy, że nie znamy w Królestwie Polskiem, oprócz Polaków i Żydów, żadnej narodowości, wyłączonej od piastowania godności sędziowskich. Tymczasem tow. Gegeczkori i frakcja S.-D., nie zaznaczywszy w niczem dążności do równouprawnienia Żydów, odmówili tego równouprawnienia Polakom.

Dlatego zapytujemy frakcję ros. S.-D. w Izbie, jak usprawiedliwi wobec zasad międzynarodowej socjalnej demokracji stanowisko swoje w sprawie najskromniejszego domagania się równouprawnienia ludności polskiej w Królestwie Polskiem.

Odezwę podpisali pp.: Ignacy Daszyński, dr. Herman Diamand, Józef Hudec, dr. Ryszard Kunicki, dr. Herman Lieberman, Andrzej Moraczewski.

SPOŁECZEŃSTWO A NĘDZA.

III.

Dwa razy do roku (w styczniu i w lipcu) dokonywany bywa spis ludności, korzystającej z pomocy dobroczynności. W lipcu r. 1907 spis wykazał 868276 osób w całym kraju, czyli, 21,3 osób na tysiąc mieszkańców; w styczniu r. 1908 — 928671, czyli 22,9 na tysiąc ludności, wszakże liczby te nie dają dostatecznego pojęcia o istocie rzeczy, gdyż przyjmują pod uwagę jedynie jeden dzień. W r. 1906/7 przeprowadzono statystykę, obejmujący cały rok. Okazało się przytem, że liczba osób, które w ciągu roku korzystały z pomocy dobroczynności wynosi 1709436 czyli 47,7 na tysiąc ludności. Na liczbę tę złożyło się 526449 mężczyzn, 618673 kobiet, 564314 dzieci. Najmniej korzystają z pomocy osoby w wieku od lat 15 do 35, po latach 35 stosunek wzrasta postępowo.

Stosunek In-door relief do Out door relief wyraża się w liczbach 32 i 68 i wykazując pewną stałość.

Ruch publicznie wspieranego ubóstwa czyli pauperyzmu przedstawia następująca tablica:

Okresy	Przeciętne liczby osób korzystających z wsparć i pomocy	Przeciętne na 1000 ludności	Spadek procentowy w stosunku do okresu poprzedzającego
1871—1880	748000	31,2	—
1881—1888	711500	26,6	4,6
1889—1896	700000	23,8	2,8
1897—195/6	720000	22,2	1,6
1906/7	770000	22,3	—
1907/8	772000	22,1	—

Znaczny spadek stosunkowy w drugim okresie przypisać należy surowemu regulaminowi. Natomiast stosunkowy stan ubóstwa w okresie 1896 — 1908 wykazuje pewną słabość. Porównanie okresu 1871 — 1880 z okresem 1896—1905 wykazuje przyrost korzystających z pomocy mężczyzn o 18%, a kobiet i dzieci o 20,8%.

Pomimo stosunkowego spadku pauperyzmu wydatki zarządu dobroczynnością publiczną wzrosły zarówno absolutnie, jak względnie.

	wydatki dobroczynności (w funtach szterling.)	na głowę ludności
1871— 2	8007407	7,02
1879—80	8015010	6,30
1887—88	8440820	6,06
1895—96	10215974	6,70
1905—06	14685983	8,58

Wzrost wydatków wykazuje przeważnie *In — door relief* czyli domy zarobkowe, schroniska i ochrony.

W okresie 1871—80 wydawano na osobę korzystającą z pomocy przeciętnie około 100 rubli rocznie; w okresie 1896—1906—około 150 rubli.

W zakończeniu przeglądu statystycznego sprawozdanie mówi: „Przykro jest przyznać, że pomimo powszechnego postępu materjalnego—i moralnego, pomimo olbrzymich, bo przekraczających 600 miljonów f. st. (600 miljonów rubli) wydatków na dobroczynność, szpitalnictwo i szkolnictwo, posiadamy olbrzymią armję osób niezdolnych, zaspokoić swe pierwsze potrzeby, — armję, która w latach ostatnich wykazuje tendencję

raczej wzrostu niż spadku. Jakim wtedy okolicznościom przypisać należy ten smutny stan rzeczy? Niewątpliwie posiada organizacja pomocy pewne wady mechaniczne, które stoją na przeszkodzie skutecznego dopięcia celu. Ale głębsze uniknięcie w statystyc poczynionionych wydatków i osiągniętych rezultatówe przekonywuje, że nasza organizacja społeczna jest *chora* i jakiekolwiek są czynniki tej choroby, posiadają one przecież takie własności, że ani najszersza dobroczynność, ani najdoskonalsza organizacja usunąć ich nie zdoła".

IV.

Sprawa przyczyn wywołujących nędzę, rozpatrywaną *niezależnie od bezrobocia* stanowiła owo jabłko niezgody pomiędzy większością a mniejszością Komisji. Większość nie może, rzecz prosta zaprzeczyć, że przyczyny tkwią w stosunkach gospodarczych, wszakże stara się ona powiązać je z polityczno-społecznemi i zawodowemi dążeniami robotników. Należy naogół stwierdzić, że udoskonalenie maszyn przoduje wzmożenie tempa pracy, i wzmożenie napięcia pracy, któremu robotnik w wieku podeszłym podołać nie może; dlatego pozbawiony zostaje pracy. Tendencja ta zaostrzona zostaje przedewszystkiem przez to, że przedsiębiorca zmuszony jest płacić według taryfy związkowej, a przeto usuwa z fabryki robotników mniej wprawnych i słabszych; następnie, przez prawodawstwo o odszkodowanie i ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków, które skłania przedsiębiorców do wyszukiwania robotników ostrożnych i zwinnych. Znaczna liczba rzeczoznawców orzekła przed komisją, że pieniężna odpowiedzialność przedsiębiorców za wypadki przy pracy utrudnia znalezienie zarobku robotnikom starszym, słabszym lub pod jakimkolwiek względem fizycznie upośledzonym. Trzecia właśnie przyczyna tkwi w warstwie robotniczej niewykwalifikowanej i jedynie okolicznościowo zatrudnionej. Okolicznościowo zatrudniani robotnicy dostarczają największą liczbę wspieranych przez dobroczynność osób. Dalsza przyczyna pauperyzmu tkwi w szkodliwych dla zdrowia przemysłach, rujnujących przedwcześnie zdrowie robotników, którzy stają się ciężarem dobroczynności.

Istniejąca obecnie organizacja dobroczynności nie jest w stanie podołać wymaganiom czasu. Domy zarobkowe wywierają wpływ demoralizujący i osłabiający charakter, a nic nie czyni się dla osób korzystających z wsparcia zewnętrznego, aby je dźwignąć, aby zrobić z nich użytecznych członków społeczeństwa. Cele te obce są duchowi panującego prawodawstwa. Raport większości proponuje przeto następujące zmiany w prawodawstwie o ubogich:

Instytucja rad dobroczynności, oraz podlegających im okręgów dobroczynnych zostaje zniesiona. Zarząd dobroczynnością przechodzi w ręce municypalistów. Zadania rad obejmują komisje municypalistów. Komisje te składają się w połowie z radców municypalnych, w połowie zaś z powołanych obywateli. Dla wszystkich celów dobroczynności publicznej gminy Londynu zostaje połączoną i określają jednolity podatek (dotychczas każda gmina rządziła się oddzielnie i częstokroć gminy bogate opłacały mniejsze podatki niż mniej zamożne). Zarząd dobroczynnością musi lepiej opłacać wyższych urzędników, aby mógł korzystać z sił wybitniejszych. Pozbawione środków dzieci winne znaleźć opiekę poza domem zarobkowym, w tych wypadkach dopuszalny jest jedynie Out - dooz - relief, a więc oddawanie na wychowanie i naukę. Mieszany dom zarobkowy, w którym znajdują przytułek wszystkie kategorje ubogich: kobiety i mężczyźni, starcy i ubodzy, powinien być zniesiony. Natomiast powstać mają schroniska, w których ubodzy będą traktowani stosownie do wieku, charakteru i sprawowania. Wsparcie poza schroniskami winno być wystarczające, a wspierani podlegać mają ścisłemu nadzorowi.

Zmiany te, jak widzimy, nie trafiają w źródło złego. Są to częściowe ulepszenia, zmiany nazw i osób. Nie domy zarobkowe lecz schroniska, nie rady dobroczynności lecz komisje municypalne. Oczywiście ma organizację ożywić nowy, zdrowszy społecznie duch — ale czy to wystarczy.

Inaczej raport mniejszości. Ale o tem innym razem.

Marjan Aleksandrowicz.

EDWARD DAWID.

DARWINIZM I ROZWÓJ SOCJALNY.

Nauka Darwina i jego zwolenników włączyła człowieka w wielki łańcuch całego organicznego życia. W przeciwstawieniu do fantazji przez poetów i metafizyków wysnutych, zagadnienie o pochodzeniu człowieka zostało w ten sposób wyjaśnione, że rodzaj nasz, jako gałęź drzewa analogicznego całego świata zwierzęcego tkwi korzeniami w najprostszych, jednostajnych formach istnienia.

Nie trudno jest domyśleć się na jakiem podłożu organicznem powstała owa szczęśliwa przemiana, która zdecydowała o „uczłowieczeniu". Musiała to być dziedzina, która charakteryzuje człowieka w przeciwstawieniu do wszystkich innych istot żyjących, a której silny rozwój wyniósł go wysoko ponad człekokształtne małpy. Była to część centralnych ośrodków nerwowych, które poczytujemy jako nosicieli funkcji rozumowania, logicznego sądzenia i wnioskowania. Zdolność taka pozwoliła mu objąć przyczynowy związek przedmiotów i zjawisk. Ona to skłoniła człowieka do wykonania oręża i narzędzi, do zastosowania ognia, budowy bezpiecznych mieszkań, do oswajania i zużytkowania siły zwierząt, w końcu i do uprawy pożytecznych roślin.

Obok zdolności umysłowych, musimy przyjąć silną predyspozycję człowieka do uczuć społecznych, jako warunek, sprzyjający jego wzniesieniu się. Uczucia te, których podwaliny powstały jeszcze w stadjum zwierzęcem dzięki życiu gromadnemu, wraz z twórczem oddziaływaniem intellektu musiały stać się potężnym orężem w zbiorowo prowadzonej walce o byt. Wewnątrz życia plemiennego były już rozwinięte takie zalety, jak pomoc wzajemna i uprzyjemnianie sobie czasu; stanowiły one, wraz z surowemi, opartemi na gwałcie, podstępie i okrucieństwie cechami walki zewnętrznej, dysharmonijny zespół przymiotów moralnych, które rozwijając się na drodze naturalnego i płciowego doboru, znamionują wstępującego w historję człowieka.

Przy pomocy teorji naukowej o doborze najbardziej przystosowanych do walki udaje się stosunkowo łatwo wyświetlić zasadnicze rysy problematu rozwoju człowieka od stanu zwierzęcego aż do progu kultury. Jeżeli jednak zechcemy zwrócić wzrok na dalszy rozwój naszego rodzaju w pochodzie cywilizacyjnym, znajdujemy się wobec nowej komplikacji.

Pierwotne plemiona ludzkie przekazywały raz zdobyte urządzenia, ułatwiające ich byt, z pokolenia na pokolenie. Broń, narzędzia, schroniska, skóry zwierzęce, uprawa ziemi i t. d. stawały się dziedzictwem rodowem lub rodzinnem; tworzyły one wciąż wzrastający wartościowy dorobek kulturalnych wartości realnych. Równolegle z tem szedł rozwój duchowych własności, praktycznego doświadczenia i teoretycznych poglądów, które drogą tradycji i wiedzy zostały utrzymane i powiększone. Te materjalne i duchowe zdobycze czasu zyskały w przeciwstawieniu do dziedziczonych cech generatywnych coraz większe znaczenie, jako środki pomocnicze, a jednocześnie i jako czynniki doboru w walce o byt.

Plemię bardziej zasobne w owe dorobki kulturalne miało więcej danych, by wytrwać w walce z przyrodą lub z wrogiem plemieniem. Przyglądając się stopniowemu rozwojowi ludów pierwotnych, aż do pokolenia cywilizowanego — widzimy wciąż powiększającą się ilość pierwiastków kulturalnych, które jako cechy doboru naturalnego stają do współzawodnictwa z dziedzicznemi wartościami organicznemi. Jest to nowy moment, który kwalifikuje historję rozwoju człowieka na wyższych stopniach kultury.

Poczytujemy za zasługę Wilh. Schallmayerowi, że w książce swej p. t. „Dziedziczność i dobór w życiu ludów" wskazuje na zboczenia i starcia w procesie rozwoju doboru naturalnego, skutkiem nagromadzonych pozostałości tradycyjnych. Obserwując z tego punktu widzenia ukształtowanie się tych form procesu w wysoko rozwiniętym ustroju socjalnym, widzimy przedewszystkiem fizyczne wartości dziedziczne mianowicie: zdrowie ludzkie bardzo zagrożone, dzięki pracy zawodowej. Potężny wzrost czynników kulturalnych jest skutkiem i przyczyną wciąż postępującego zróżnicowania podziału pracy. Lecz ta wciąż wzrastająca specjalizacja doprowadziła oddzielne osobniki do przymusowej jednostronności ich funkcji organicznych: czyli do nadwerężania jednych organów, a znów zaniedbania drugich.

Do zboczeń wywołanych specjalizacją dołączają się najrozmaitsze szkodliwe wpływy zewnątrz. Niehygieniczne warunki warsztatów, brak świeżego powietrza, słonecznego światła, kurz, skwar i chłód, szkodliwe gazy przyczyniają się do wywołania chorób zawodowych. Jasnem jest, że przyczyny te oddziaływają źle na cały organizm, a więc i na komórki rozrodcze, a tem samem i na przyszłe potomstwo, a oczywiście wpływają zwyrodniająco na cały szereg pokoleń.

Silną przeciwwagą dla degenerującego wpływu takiego trybu życia jest szybsze wymieranie wycieńczonych jednostek, a także i wątłego potomstwa. Temu naturalnemu doborowi stają w poprzek opiekuńcze urządzenia społeczne, które mają na celu utrzymywanie przy życiu nadwerężonych organizmów, umożliwienie im rozradzania się, a także i podtrzymania marnego pod względem fizycznem potomstwa. Darwin w piątym rozdziale dzieła swego p. t. „O pochodzeniu człowieka" mówi w tej kwestji:

„Między dzikiemi zwykle jednostki fizycznie i umysłowo upośledzone zostają wyrzucone poza nawias życia. Ci, co pozostają przy życiu są zwykle bardzo zdrowi. Zaś my ludzie cywilizowani czynimy wszystko, ażeby temu procesowi zaszkodzić. My budujemy schroniska dla schroniska dla kalek, chorych i idjotów, wydamy specjalne prawa dla ubogich, a nasi lekarze wysilają swe zdolności, aby chorych możliwie długo utrzymać przy życiu. Coprawda musimy się z tem zgodzić, że dzięki szczepieniu, tysiące słabo odpornych jednostek zostają uchronione od ospy. Mogą więc słabe osobniki cywilizowanych narodów dowolnie rozradzać swój gatunek. Kto tylko cokolwiek zna się na hodowli zwierząt domowych, ten natychmiast zauważy, że jest to wyraźnie dla rasy szkodliwe. Uderzającem wprost jest, jak brak starania albo złe jego zastosowanie doprowadzają szybko do zwyrodnienia całej rasy. To też z wyjątkiem gdy chodzi o człowieka, nie będzie nikt tak głupim, aby rozmnażać najgorsze gatunki swego inwentarza". Nie brak ludzi, którzy na podstawie tego twierdzenia wypopowiadają pogląd, jakoby darwinizm i społeczna polityka ochronna stały ze sobą w nieprzejednanem przeciwieństwie. Wychodząc z tego założenia, próbowano zdyskredytować wszystkie wysiłki do podtrzymywania słabych, wyprowadzono z tego prawo silniejszego nad słabszym i napiętnowano współczucie, jako słabość szkodzącą interesom ogółu.

Darwin jednak był bardzo dalekim od wyprowadzania podobnych wniosków ze swych spostrzeżeń. W związku z wyżej cytowanym ustępem, powiada on: „pomoc, jaką okazujemy w imię obowiązku słabszym, wypływa z instynktu sympatji, która występowała już pierwotnie, jako poboczna forma uczuć społecznych, a z biegiem rozwoju stawała się coraz subtelniejszą i wszechogarniającą. Teraz już bez podeptania najszlachetniejszych porywów naszej duszy, stłumić w sobie tego uczucia nie możemy, nawet gdyby nasze przekonania tego wymagały. Musimy tylko przyklasnąć Darwinowi; gdybyśmy bowiem chcieli brak współczucia i uczynności nazwać najwyższym obowiązkiem społecznym, doprowadziłoby to nas do zupełnego znikczemnienia charakteru.

Kto w imię konieczności doboru silnych jest za tem, aby pozwolić bezlitośnie ginąć słabszym, nie powinien zatrzymywać się w pół drogi. W społeczeństwie opartem na własności i podziale pracy, pojęcie siły nie opiera się li tylko na mocy fizycznej i sprawności mięśni. Na tym stopniu cywilizacji siły indywidualne niezbędne w walce o istnienie utożsamiają się, jeżeli nie całkowicie, to w każdym razie przeważnie z dobrem wyposażeniem w objektywne wartości kulturalne. Posiadanie bogactw materjalnych daje nawet słabemu na duchu i ciele przeważającą władzę. Może on sobie i potomstwu swojemu łatwiej zapewnić egzystencję, niż fizycznie silny, któremu jednak brak potęgi i materjału. Bogactwa i dziedziczenie majątku stanowią więc dalsze pokrzyżowanie doboru naturalnego w teraźniejszem społeczeństwie. Kto w imię wyższego rozwoju gatunkowego, wymaga bezlitosnej bezwzględności dla słabych biedaków, ten nie powinien dopuszczać do utrzymywania przy życiu i rozradzania się wątłych bogaczy. Niweczenie doboru naturalnego pogarsza się jeszcze dzięki temu, że bogactwa materjalne mają doniosłe znaczenie przy wyborze dozgonnego towarzysza lub towarzyszki. Bogata panna z łatwością znajdzie męża, niezależnie od stanu zdrowia jej organizmu; przeżyty, schorowany bogacz bez trudu żonę dostanie. Skutkiem takich związków powstaje słabe, zdegenerowane potomstwo, które jednak ma zapewniony byt i dalszy rozwój dzięki pieniężnej potędze swych życiodawców.

W szczególny sposób są również zagrożone zdolności intellektualne, które wszak przywiodły ludzkość na wyższy poziom cywilizacji. Rozwój duchowych zdolności dzieci aż do tego stopnia, na którym praca zapewnie egzystencję rodzinie, jest zwykle związany ze stanem majątkowym rodziców. Wiele wybitnych, artystycznych i umysłowych zdolności nie może się rozwinąć z braku środków materjalnych, nie przyrodzona zdolność stanowi o wyborze zawodu, lecz — worek ojcowski. To też bardzo wiele osobników zajmuje odpowiedzialne stanowiska, do których ani w części nie dorośli. Sprawują więc często swe urzędy tylko ze szkodą dla swoich współobywateli. Spaczanie doboru znamion duchowych potęguje się jeszcze przez tę okoliczność, że niezamożni inteligenci nie mogą zakładać ognisk domowych. Jednostki zajmujące się pracą umysłową, żenią się przeciętnie po trzydziestym roku życia. Już choćby z tej przyczyny potomstwo ich jest mniej liczne niż wśród klas pracujących fizycznie, pogarszają sytuację choroby płciowe, spowodowane stosunkami przedślubnemi.

Niebezpieczeństwo cofnięcia się wstecz powiększa się jeszcze i przez to, że właśnie dla inteligentów bogata żeniaczka występuje, jako konieczność społeczna. To też większością wypadków wybiera on na żonę, nie kobietę, która odpowiada mu stopniem rozwoju umysłowego i która by go pociągała swojemi zaletami, lecz tę, co umożliwia mu dostatni, a nawet luksusowy tryb życia. Niestety związek taki człowieka inteligentnego z bezmyślną gąską sprowadza zwykle obniżenie właściwości umysłowych w potomstwie. W ostateczności takie spaczenie doboru płciowego musi prowadzić do zredukowania uczuć socjalnych. Miłość małżonków, szczęśliwe życie rodzinne, które wytwarza między rodzicami i dziećmi serdeczny związek jest głównem źródłem uczucia dla

bliźnich. Małżeństwo zaś oparte nie na podstawie szczerych uczuć, łączące dwie niedobrane pod żadnym względem nieodpowiadające sobie istoty są przyczyną zaniku dodatnich cech obojga i latorośle takich związków podlegają niebezpieczeństwu zwyrodnienia uczuć. Zanik szlachetnej zdolności odczuwania humanitarnego, oschłość serca i brutalny egoizm, wewnętrzna grubość pomimo zewnętrznej, przesubtelnionej kultury — oto skutki tego rodzaju małżeństw. Najsmutniejszem jest to, że w walce o byt, opartej na zasadzie kapitalistycznej konkurencji właśnie owe ujemne właściwości utrwalały się, jako cechy dodatnie i są dalej rozwijane i wpajane. Są to „cnoty" bezwzględnego kupca, wiecznie goniącego za zyskami. W podobnych warunkach indywiduum zaopatrzone w tego rodzaju cechy, napewno usunie z pola bardziej ludzko usposobionego współzawodnika.

Czyż można się wobec tego dziwić, jeżeli obserwatorzy wyżej przedstawionych, tamujących dobór naturalny wpływów, poczną zapatrywać się pesymistycznie na przyszłość współczesnych narodów. Wskazują oni na historję ludów, która uczy nas, że jak narody, tak i oddzielne jednostki wykazują wzrastający to znów obniżający się rozwój, że u szczytu kultury czyha upadek, że wartości moralne i materjalne zdobyte przy rozwojowem wznoszeniu się, coraz bardziej są zatracone, aż wreszcie naród, posiadający starą kulturę, przez zetknięcie się z narodem bogatym w młode siły rozwojowe, rozsypie się i zniknie bez śladu w historji ludów.

(D. c. n.).

ECHA.

KOŁO NIEMOCY PRZEMYSŁOWO-HANDLOWEJ.

Dnia 22 i 29 z. m. odbyły się 2 zgromadzenia ogólne t. zw. „Koła Samopomocy przemysłowo-handlowej" istniejącego przy Warszawskim oddziale Tow. popierania rosyjskiego przemysłu i handlu. Koło to jest jedynym realnym czynem zwolenników akcji bojkotowej skierowanej przeciwko przemysłowi niemieckiemu. Słomiany ogień zapału, jak to zresztą przewidywaliśmy, zgasł, to też koło licząc nominalnie 200 członków, obraduje faktycznie z udziałem 20 — 30 osób, a i te osoby przychodzą bardziej „pro honore domus", niż dla rzeczowych rozpraw.

W takich warunkach Koło zwróciło się do zarządu Warszawskiego oddziału Tow. popierania przemysłu, aby energiczniej zajął się tą sprawą...

Niestety, jednak cały oddział warszawski Tow. popierania przemysłu spoczywa w letargu, więc nic Kołu pomódz nie był w stanie.

Zdawałoby się, że najracjonalniej byłoby w tych warunkach rozwiązać się, na to jednak nie pozwalają ambicyjki członków zarządu i względy patrjotyczne, bowiem „nie wypada, aby bankrutowały hasła patrjotyczne".

ZRZESZENIE KOLEJARZY.

Był czas kiedy pracownicy kolejowi byli przedmiotem podziwu ze strony społeczeństwa z powodu zadziwiającej solidarności i hartu woli, które to zalety w chwili decydującej miały znaczenie rozstrzygające.

Był czas... i minął. Obecnie kolejarze sfilistrzeli i pogrążeni są w takiej samej apatji, jak całe społeczeństwo.

Pracownicy kolei W. W. mają instytucję oświatową „Jedność". Jedność liczy w Warszawie 10 kół, a każde Koło ma kilkuset członków. Zdawałoby się, że z taką ilością członków możnaby dość dużo zrobić, a jednak „Jedność" utrzymuje zaledwie 4 szkółki początkowe. Jak zaś członkowie „Jedności" interesują się jej sprawami, świadczy fakt, że na odbyte d. 28 z. m. zebranie koła III liczącego 265 członków przybyło wszystkiego 35 osób, a w tem ²/₃ robotników.

Ze sprawozdania dowiedzieliśmy się o nadzwyczaj smutnym fakcie zamknięcia z braku słuchaczy kursów dla analfabetów dorosłych. Niestety, nikt z członków zarządu Koła nie umiał wytłomaczyć, dla czego kursy stopniowo straciły słuchaczów i w jakiej mierze winni tu byli nierozumiejący potrzeby oświaty analfabeci, a w jakiej — wadliwy system nauczania.

RUCH ZAWODOWY.

STOW. ZAWODOWE ROB. PRZEMYSŁU WŁÓKNISTEGO „JEDNOŚĆ".

W ubiegłą niedzielę odbyło się w Łodzi zgromadzenie ogólne członków „Stow. Zawodowego Robotników Przemysłu Włóknistego „Jedność".

Pierwszą rzeczą, która każdemu musi się rzucić w oczy, jest bezwątpienia fakt znacznego zmniejszenia się ilości członków Stowarzyszenia, których liczba z 23 tysięcy przeszło na początku roku spadła do 10 tysięcy pod koniec.

Pod tym względem „Jedność" łódzka nie jest odosobniona; to samo zjawisko widzimy w warszawskich związkach, to samo widzimy w związkach petersburskich i moskiewskich.

Na tle ogólnego przygnębienia i skrępowania czynu społecznego „Jedność" nie może stanowić wyjątku, jakkolwiek zaprzeczyć się nie da, że zabarwienie narodowo-demokratyczne tego zrzeszenia odtrąca odeń żywioły postępowe.

Przechodząc do cyfr, widzimy, że w d. 1 stycznia r. 1908 zapisanych było: w Łodzi 17,645 członków; w Pabianicach 1,756; w Zgierzu 873; w Zawierciu 787; w Zduńskiej Woli 305; w Tomaszowie 663; w Częstochowie 511; w Sosnowicach 255; w Warszawie 188; w Żyrardowie 208. Natomiast w d. 1 stycznia r. 1909 było: w Łodzi 7,015 członków; w Pabianicach 614; w Zgierzu 204; w Zawierciu 684; w Zduńskiej Woli 52; w Tomaszowie 154; w Częstochowie 701; w Sosnowicach 200; w Warszawie 112; w Żyrardowie 357.

W okresie apatji ogólnej i depresji ekonomicznej (nie mówiąc już o nadzwyczajnem umiarkowaniu stowarzyszenia), nie mogło być mowy o działalności zaczepnej, nowych żądań nie stawiano, usiłowano tylko utrzymać zdobycze dawne, mimo to strajki wybuchały, gdyż fabrykanci z konsekwencją i uporem obniżali zarobki nie tylko do poziomu przedrewolucyjnego, ale znacznie bardziej.

Pozatem rugowano robotników masowo z powodu zbytniego nagromadzenia się towarów i wynikającej stąd potrzeby ograniczenia wytwórczości.

W tych warunkach najważniejszą czynnością każdego związku zawodowego jest wydawanie zapomóg; więc też „Jedność wydała ogółem 6,770 zapomóg na ogólną sumę 15,982 rb. 82 kop., a w tej liczbie: bezrobotnym 4,992 zapomogi na sumę 10,509 rb. 50 kop.; chorym 1,517 zapomóg na sumę 3,407 rb. 32 kop.; położnicom 203 zapomogi na ogólną sumę 1,230 rb. 50 kop.

Tu zaznaczyć musimy, że zapomogi położnicom wydawane były tylko w pierwszem półroczu, gdyż od czerwca je zniesiono.

Pracę za pośrednictwem związku otrzymało 767 członków. W sprawozdaniu czytamy, że tak mała ilość obsadzonych miejsc tłomaczy się tem, iż z jednej strony przeważnie usuwano robotników, a nie przyjmowano,

a z drugiej fabrykanci niechętnie uciekali się do pośrednictwa Stowarzyszenia.

Co się tyczy zatargów, to w sprawozdaniu czytamy, co następuje:

W roku sprawozdawczym z przyczyn od niego niezależnych związek działalność swą pod tym względem zmuszony był ograniczyć do minimum, załatwiając przeważnie konieczne sprawy listownie, inne pozostawił inicjatywie samych członków.

Stow. „Jedność“ wydaje tygodnik dla swych członków, który wychodzi w małej wprawdzie objętości, kosztuje jednak tylko 10 kop. miesięcznie. Dopłaca Stowarzyszenie do tego pisma 2,000 rb. Majątek Stow. wynosił w d. 1 stycznia 29,582 rb. 09 kop., w tem: kapitał żelazny 10,572 rb. 69 kop.; zapomogowy 12,Z43 rb. 39 kop.; administracyjny 6,811 rb. 76 kop.

Mimo trudnych warunków, w jakich znajduje się obecnie Łódź, stowarzyszenie „Jedność“ urządzało odczyty i pogadanki przynajmniej 2 razy na tydzień.

Tak się przedstawia w cyfrach ogólnych działalność najliczniejszego zrzeszenia robotniczego w Królestwie.

LOKAUT GARBARSKI NA LITWIE.

Podczas gdy u nas okoliczności zewnętrzne i depresja ekonomiczna osłabiły zupełnie odporność robotników, na Litwie robotnicy nie tylko z powodzeniem odpierają zamachy na raz zdobyte ustępstwa, ale nawet wystawiają takie żądania, które u nas uważane są za niemożliwe już do przeprowadzenia.

W obecnej chwili na Litwie, a szczególniej w Wilnie trwa lokaut garbarski; trwa on od 3 miesięcy i robotnicy nie chcą ustąpić ani w zakresie płacy ani w zakresie ilości godzin dnia roboczego.

Wobec zaciętości stron obu pośrednictwa podjęła się Rada Miejska z prezydentem p. Michałem Węsławskim na czele. Właśnie w zeszłym tygodniu odbyło się w Radzie Miejskiej posiedzenie przedstawicieli robotników i przemysłowców garbarskich, na którem omawiano ostateczne warunki robotników. Są one następujące:

1) Fabrykanci płacą za cały czas trwania lokautu;

2) Robotnicy przyjmowani są wyłącznie za pośrednictwem związków zawodowych;

3) Usuwanie robotników zależy od fabrykantów, ale o ile usuwany robotnik protestuje przeciwko usunięciu, sprawa przechodzi do izby pojednawczej;

4) Po lokaucie nikt z robotników poprzednio pracujących nie traci zajęcia;

5) Fabrykanci przyjmują majstrów specjalistów, którzy odpowiadają za gatunek towaru, robotnicy ze swej strony podlegają majstrowi;

6) Dzień roboczy trwa 8 godzin t. j. od g. 7 rano do 5 po poł. z 2 godzinną przerwą na obiad.

Jak wojowniczo usposobieni są robotnicy, świadczy o tem fakt następujący, który podajemy za „Torg. Promyszl. Gaz.“. Gdy obecni na sali obrad, a nie należący do wybranych przez związek garbarzy delegatów, robotnicy oświadczyli, że zgadzają się na przyjmowanie robotników według uznania fabrykantów i że gotowi są stanąć do roboty, delegaci oświadczyli, że wobec obecności na zebraniu robotników postronnych opuszczają salę posiedzeń. Obrady się urwały. Lokaut trwa. Tymczasem niektórzy fabrykanci ustępują; tak naprz. zobopólnemi ustępstwami skończył się 10 tygodniowy lokaut garbarski w Smorgoniach, gdzie uchwalono zatargi rozstrzygać przez izbę pojednawczą złożoną z 3 przedstawicieli robotników i 3 przedstawicieli fabrykantów.

Z TEATRU.

Szkoła obmowy. Komedja w pięciu aktach Ryszarda Scheridana. (Teatr Rozmaitości).

Sztuka Scheridana ma piętno żywego talentu i błyskotliwego umysłu. Cechuje ją lekkość i barwność rozmowy, jaka możliwą jest tylko w sferach, gdzie kwitnie życie towarzyskie. Jest charakterystyczną dla epoki o przewadze rozumu nad uczuciem. Jest chłodną i dystyngowaną i niema w niej śmiechu przez łzy. Dalej — jest to wystawa barwnych toalet i stylowych apartamentów. Ten motyw zewnętrzny niewątpliwie sprzyja temu, że sztuka Sheridana do dziś bywa wystawiana. Bo teatr dni dzisiejszych jest teatrem dekoracyjnym i bijące w oczy kosztowne toalety aktorek są wabiem, który nietylko olśniewa kobiety, ale i rozprasza uwagę. Aktorka, zjawiająca się na scenie po stracie np. „najdroższego“ męża w sukni ozdobnej, jakby się wybierała na bal do ambasady, nie budzi już dziś poczucia śmieszności. Teatr został opanowany przez „role“ krawców i tapicerów.

L. Ch.

KRONIKA.

Dyrekcja Teatrów Rządowych w Warszawie nadsyła nam warunki konkursu dramatycznego, urządzanego przez dyrekcję teatrów rządowych zatwierdzone przez jenerał-gubernatora warszawskiego:

Dla zasilenia repertuaru dramatu i komedji utworami oryginalnemi Dyrekcja Teatrów rządowych ogłasza niniejszem konkurs dramatyczny na warunkach następujących:

1. ubiegające się o nagrodę utwory dramatyczne, napisane prozą albo wierszem, z wyłączeniem krotochwili i wodewilu, winny posiadać, przy koniecznej wartości literackiej, przymioty sceniczne o ile możności zastosowane do warunków teatrów Rozmaitości i Wielkiego i wypełniać mają całe przedstawienie.

2. nagrody ustannwia się trzy: za najlepszy z nadesłanych utworów rb. 1,000, za dwa następne, według uznanego przez sędziów stopnia ich wartości, rb. 500 i 300. Utworom, które nagrody nie otrzymały, jury ma prawo przyznać odznaczenie. Każda z wyznaczonych nagród przyznana będzie w całości i żadna rozdzieloną być nie może;

3. utwory, które uzyskają nagrodę będą przedstawione na scenach rządowych w Warszawie;

4. utwór nagrodzony staje się własnością Dyrekcji, która jednak pozostawia autorowi swobodę ogłoszenia go drukiem. Przyznana mu nagroda nie pozbawia go prawa do wypłacanej autorom tautjemy;

5. ostateczny termin nadsyłania prac konkursowych upływa 31 grunnia 1909 roku. W razach wątpliwych rozstrzyga data stempla pocztowego. Sąd konkursowy, kończy swoją pracę w dniu 1-go maja 1910 roku;

6. każdy rękopis winien być napisany czytelnie i zaopatrzony godłem. Godło to ma znajdować się również na kopercie zapieczętowanej, zawierającej imię, nazwisko i dokładny adres autora;

7. nazwiska autorów, odznaczonych przez sędziów, będą ujawnione jednocześnie z nazwiskiem nagrodzonego twórcy, o ile na rękopisie utworu nie będzie wyraźnego zastrzeżenia, że koperta tylko w razie przyznania nagrody może być odpieczętowana;

8. rękopisy nadsyłać należy pod adresem Dyrekcji Teatrów rządowych na ręce kierownika literackiego J. Kotarbińskiego z wyraźnem zastrzeżeniem na rękopisie i opakowaniu, że manuskrypt przeznaczony jest na konkurs;

9. sąd konkursowy składają osoby następujące: Bohusławski Władysław, Dębicki Zdzisław, Frenkiel Mieczysław, Gawalewicz Marjan, Jankowski Czesław, Kempner Gabrjel, Kotarbiński Józef, Kozłowski Stanisław, Lorentowicz Jan, Matuszewski Ignacy, Rabski Władysław, Śliwicki Józef i Święcicki Adolf.

METROPOLIS.

(Ciąg dalszy).

— Mrs. Robbie Walling! Przecie to jej sprawa ów artykuł! Tak to oni walczą. Dają pieniądze łajdakom, aby występowali w ich obronie. I w ten sposób szerzą najskandaliczniejsze historje o ludziach, którym chcą szkodzić.

Czy pani mówi serjo!

— Najzupełniej. Znam ich doskonale! Robbie Walling zapłaciła piętnaście tysięcy dolarów za parę głupich książek, które ci łotrzykowie wydali. Ta prasa sprzedajna otrzymuje codzień stosy niebieskich liścików ze złotemi monogramami. Znam ludzi, którzy zasiadali i w domach, gdzie ich zapraszano, pisali skandaliczne historje na panią domu. Niemasz pan pojęcia, jak nikczemni są ludzie.

— Przeciwnie. Znam trochę nikczemność ludzką i przeto chciałem panią bronić.

— Ależ ja nie chcę być bronioną. Nie chcę im sprawiać tej satysfakcji. Niech sobie mówią, co chcą— nigdy nie zdołają mnie zmusić do liczenia się z nimi.

— Kiedy przeczytałem ten artykuł — pomyślałem, jak mocno musiał on panią dotknąć i jak oburzył męża pani.

— Mego męża?

Było coś twardego w jej głosie, kiedy ciągnęła dalej:

— Mąż mój nie lepszy od nich... Że się postara, aby nic więcej o mnie nie drukowano, o tem jestem przekonana.

Allan zamilkł, zbity nieco z tropu.

— Sądzę, że artykuł ten mógł jednak męża pani zaniepokoić i wpłynąć na zamącenie stosunku małżeńskiego.

Znów nastała chwila ciszy.

— Nie rozumie pan... rzekła Mrs. Winnie.

Jej ręce poruszały się nerwowo. Głos brzmiał łagodnie i drżąco.

— Wyjaśnię to panu. Zawsze doznawałam wrażenia, że pan nie wie...

Znów nastąpiła pauza. Pani Winnie wahała się, ręce jej drżały.

— Zawsze chciałam to panu powiedzieć... Nie kocham swego męża. Nie mam względem niego żadnych obowiązków. O tem, co ja robię, on niema nic do powiedzenia...

Montague słuchał w osłupieniu. Mrs. Winnie patrzyła nań śmiało. Gorący rumieniec rozlewał się zwolna po jej policzkach i szyi.

Nie chcę już dłużej ukrywać się z tem przed panem.

Głos jej zamarł i znowu zapanowała cisza.

— Czemu pan nic nie mówi? Spytała głosem, w którym brzmiał serdeczny ból.

Montague spojrzał na nią uważnie. Dłonie jej były kurczowo zaciśnięte, wargi drżały.

Był tak zażenowany, że nie mógł mówić. Pierś Mrs. Winnie wznosiła się i opadała, łzy wystąpiły w oczach. Nagle zadrżała, zakryła twarz dłońmi i wybuchnęła łkaniem.

— Mrs. Winnie!—zawołał Allan.

Mrs. Winnie łkała i łkała. Widział, że drży na całem ciele.

— Nie chce mnie pan kochać?... szepnęła.

Allan drżał ze wzruszenia i pomieszania.

— O, jak mi przykro!... O, Mrs. Winnie, nie myślałem...

— Wiem! Wiem! łkała Mrs. Winnie. To moja wina! Byłam głupia! Miałam nadzieję... myślałam, że...

Dusiła się od łez. Szarpał ją nieznośny ból i wstyd.

Montague patrzył na nią bezradnie i w pomieszaniu. Ręka pani Winnie kurczowo ściskała poręcz fotelu. Allan położył na niej swą dłoń.

— Mrs. Winnie—zaczął.

Ale ona wyrwała rękę i schowała ją.

— Nie, nie—krzyknęła jak w śmiertelnym strachu. Niech mnie pan nie dotyka.

Nagle podniosła twarz i wyciągnęła do Allana ręce.

— Czy pan nie rozumie, że ja pana kocham—krzyknęła. Wiem, że mną wzgardzisz—ale cóż mam począć. Muszę to wyznać!... Pokochałam pana od samego początku. Chciałam stawić czoło całemu światu—było mi wszystko jedno, co myśli o mnie. Myślałam, że może będziemy szczęśliwi, że w końcu może ja będę wolna. Ach, pan nie przypuszczasz nawet, jak jestem nieszczęśliwa—jak samotna—jak tęsknię do wolności! I myślałam, że może pan mnie...

Łzy rzuciły się strumieniem z jej oczu, głos zadźwięczał, jak skarga dziecka:

— Czy nigdy mnie pan nie pokocha?

Jej słowa wzruszyły Allana do głębi.

— Pan mną gardzi za to, że to wszystko powiedziałam!...

— Nie, nie, Mrs. Winnie. O tem ani mowy być nie może...

Ale—jeśli tak... czemu? Czy to tak trudno mnie pokochać?

— Zapewne, że nie... Ale ja nie kocham...

Spojrzała nań z wyrzutem pełnym skargi.

— Jesteś pan tak zimny! Tak niemiłosierny!

Allan nic nie odpowiedział. Mrs. Winnie drżała ze wzruszenia.

— Czy kochałeś pan kiedykolwiek?

Zapanowało chwilowe milczenie.

— Niech mnie pani posłucha — zaczął Allan.

— Proszę mnie tak nie nazywać! Proszę mi mówić—Ewelino!

— Dobrze!—rzekł Allan. Więc Ewelino, nie miałem wcale zamiaru unieszczęśliwiać pani — inaczej byłbym tu nie przyszedł. Powiem przed panią to, czego nie wyznawałem dotąd nikomu. Wtedy mnie pani zrozumie.

Przez chwilę namyślał się w posępnem skupieniu.

— Kochałem niegdyś dziewczynę. Było to w Nowym Orleanie. Tak jest tam we zwyczaju. Kobieta żyje we własnym świecie, a mężczyzna dba o nią i o dziecko. Miłostki te nie są dla nikogo tajemnicą. Byłem wtedy jeszcze bardzo młody — miałem lat osiemnaście, a ona była jeszcze młodsza. Wtedy poznałem naturę kobiety i czem jest dla niej miłość. Przekonałem się, jak kobieta może cierpieć... Ona umarła przy połogu— dziecko umarło także.

Montague mówił cicho. Mrs. Winnie nie spuszczała z niego oka.

Widziałem, jak umierali oboje... Nigdy o tem nie zapomnę. Wtedy poznałem, żem niesprawiedliwie postąpił i postanowiłem nigdy już nie ofiarowywać miłości kobiecie, gdybym nie mógł ofiarować jej całego życia. Boję się miłości. Wzdrygam się przed cierpieniem, a jeszcze bardziej przed tem, aby inni nie cierpieli z mego powodu. A gdy kobieta mówi do mnie, jak pani dziś—to zdaje mi się, że wszystko się we mnie kurczy i cierpnie.

— Mrs. Winnie westchnęła głęboko.

(D. c. n.).

WIADOMOŚCI BIBLJOGRAFICZNE.

Bartsch Rudolf Hans. Vom sterbenden Rokoko. 1.75
Berstl Julius. Schwarz-Rot-Gold. Roman aus den vierziger Jahren. 1.50
Bircher-Benner M. Grundzüge der Ernärungs-Therapie auf Grund der Energetik. 2.—
Birk Susi Sophie (Gräfin Lusi). Va banque! Episode aus dem Spiel-Sport und Liebesleben an der Riviera. 1.—
Böhme Margarete. Rhein zauber. Roman. 1.50
Croker R. M. Katherine the Arrogant. —.80
v. Gersdorff A. Anna-Monikas Launen. Roman. 2.—
Hauptmann Gerhardt. Griselda. 1.50
Hardt E. Eine Enterbte des Lebens. Bekenntnisse einer Verirten. 1.50
Heijermann H. Schauspiele. I. Seltsame Jagd. Das Mädchen. 1.50
Holm Orla. Ovita. Episode aus dem Hereroland. 2.—
de Jong H. E. K. Das Anticke Mysterienwesen i religionsgeschichtlicher, ethnologischer und psychologischer Beleuchtung. 4.50
Klopfer Paul. Leitfaden zur Einführung in die Geschichte der Baukunst. —.40
v. Kotze Stefan. Aus einer neuen Literatur. 3.—
Krahl Georg. Bilderatlas zur Einführung in die Geschichte der Baukunst. 1.90
Natur und Ürgeschichte des Menschen von *Dr. Moritz Hoernes.* In zwei Bänden. 1 Lieferung. —.30
Runze Georg. Religion und Geschlechtsliebe. —.50
Runderer Josef. Wolkenkuchksheim. Kömödie in drei Akten. 1.25
Sittler Paul. Die Wichtigsten Bakterientypen der Darmflora beim Säugling, ihre gegenseitigen Beziehungen und ihre Abhängigkeit von äusseren Einflüssen. 1.25
Verne Julius. Die Jagd nach dem Meteore. 2.25
Wichelhaus H. Organische Farbstoffe. Ergänzung der Vorlesungen über chemische Technologie. 2.—
Wichmann Ralt. Lebensregeln für Neurastheniker. —.50
Wied Gustaw. Bauern-Geschichten. 1.75

Wszystkie powyższe książki są do nabycia w księgarni *G. Centnerszwera i S-ki, Marszałkowska 143.*

Redaktor i wydawca Władysław Gacki. T. Kołomański i S-ka, Drukarnia, Nowy Świat 40.